



BYŁEM TYLKO

"PRZEMYTNIKIEM"

Dwaj mężczyźni niczym się nie wyróżniali od nielicznych przechodniów, których w tym dniu kaśliwy mróz, chwytający za uszy, zapędzał do domu z sennego rynku. Mężczyźni widząc nie miejscowi, nie zdecydowani, zatrzymali się na skraju placu. Czapki wcisnięte na uszy skutecznie chroniły ich od zimna i kryły twarze. Po chwili namysłu podeszli do kobiety z trudem taszczącej pokąźny tobolek, opatulonej szmatami aż do czubka nosa. Kobieta przystanęła i zaczęła coś tłumaczyć, wskazując ręką w kierunku najbliższej uliczki...

— Był grudzień 1943 roku — wspomina JÓZEF JAN AUGUSTYNOWICZ „Pelikan”, „Kaszub”. W moim mieszkaniu pojawili się dwaj nieznajomi mężczyźni w średnim wieku z prośbą, abym ułatwił im nabycie żywności dla ich głodujących rodzin wypędzonych z Reichu.

Wygląd nieznajomych mógł potwierdzać, że los nie był dla nich zbyt łaskawy, a prośba ich wydawała się naturalna. Wszak po wysiedleniu z Katowic pracowałem w Gminnej Spółdzielni Rolniczej w Kolbuszowej. Ale byłem też komendantem plutonu przysposobienia lotniczego AK i nigdy nie zapominałem o obowiązujących mnie środkach ostrożności.

W tym czasie mieszkańcy Kolbuszowej żyli pod wrażeniem niezwykłego wydarzenia, które miało miejsce w listopadzie. Na tle horyzontu z kierunku Blizny kolbuszowianie dostrzegli na niebie przedmiot przypominający cygaro, wznoszący się prostopadle, za którym ciągnęła się smuga ognia. Kiedy płomień zaczął gasnąć, a przedmiot zniknął, usłyszeli potężny wybuch. Wielu mieszkańców wybiegło wtedy na rynek, a od siły wybuchu pękły szyby w niektórych oknach wystawowych, mimo że Blizna była oddalona od miasteczka o 18 kilometrów. Od tego czasu, kiedy nad Kolbuszową rozlegał się jak gdyby grzmot, ludzie zadzierali głowy do góry i wpatrywali się w niebo.

Nie mogłem opędzić się wrażenia, że to jest z tym niezwykłym wydarzeniem, i nie myliłem się. Po krótkiej rozmowie mężczyźni podali hasło, którym nawiązywaliśmy kontakty jako zakonspirowane grupy. Bez wątpliwości miałem do czynienia z ludźmi komórki wywiadu Komendy Głównej AK. Jeden z mężczyzn jakby od niechcenia zagadnął:

— Jak się pan ubiera? —
— Raczej skromnie — odpowiedziałem — aby się nie rzucać w oczy.

— To dobrze — stwierdził — dość mamy kłopotów z tymi filistrami w bluszczących oficerkach, których czuć na kilometr konspiracji.

— Lubi sobie pan popić? — indagował drugi.

Zaskoczony pytaniem wykrztusiłem:

— Czasem wypiję kielicha...

— Ale czy pan nadużywa alkoholu?

— Nie — stanowczo zaprzeczyłem.

— To, w porządku. Bo wódka już niejednego „bohatera w gabie” zdradziła, a później wpadali przez niego inni.

— Orientuje się pan co się dzieje we wsi Blizna?

Potwierdziłem domysły.

— Podejmie pan służbę wywiadowczą — zawyrokował jeden z mężczyzn, prawdopodobnie starszy rangą.

Zaczęłam oponować:

— Nie mam żadnego przygotowania, nie wiem jak się do tego zabrać...

Nieznajomi orientowali się doskonale, że mój brat leśniczy w Niwiskach — Henryk ps. konspiracyjny „Rafał” dziś już nieżyjący, jest leśnikiem, który od 16 lat administrował lasami Blizny, a ja mam przepustkę, która upoważnia mnie do odwiedzin leśniczówki w Niwiskach raz w tygodniu.

Rozmowa była skończona. Sprezycowano moje zdania: miałem zbierać informacje i pozyskiwać najdrobniejsze części latających pocisków i przewozić je do Kolbuszowej.

Tak zostałem „przemytlnikiem” pod kryptonimem „L-80” i rozpocząłem niezwykły, ale bardzo niebezpieczny przemysł.

DISNEYLAND W SPALONEJ WSI

We wsi Blizna w pobliżu Pustkowa, niedaleko przystanku kolejowego Kochanówka, już w 1940 roku Niemcy zorganizowali poligon SS noszący nazwę „SS Truppenübungsplatz — Heidelager”. Poligon w kształcie kwadratu o bokach prawie 20 kilometrów obejmował teren, w którego narożnikach znajdowały się miejscowości Brzeźnica, Rzochów, Kolbuszowa i Sedziszów. Od środka tego terenu, na zachód leży wioska Blizna — około 300 ha powierzchni. Wraz z powstaniem poligonu, mieszkańców wioski wysiedlono. Z początku założono tu obóz dla jeńców francuskich, który wkrótce zamieniono na obóz dla Żydów, których przywożono tu przeważnie z Francji, Belgii, Holandii i tracono. W 1941 roku w pobliżu powstał drugi obóz, w którym hitlerowcy więzili jeńców radzieckich. W wyniku głodu, chorób i rozstrzeliwań w latach 1941—1942 zginęło w nim 4 tys. jeńców.

W 1943 roku na terenie obozu SS-mańców Niemcy zaczęli nagle wykazywać wzmożoną aktywność. Teren obozu, zmieniono w wielki ośrodek wojskowy. Ze stacji Kochanówka zaczęto budować z pospiechem nową bocznice kolejową, do wysiedlonej wsi Blizna. Wznoszono drogi, nasypy kolejowe, nieprzerwanie nadchodzili transporty z materiałami i sprzętem budowlanym. Obóz obstawiono działami przeciwlotniczymi i gniazdami karabinów maszynowych. Powstało coraz więcej baraków, a teren był dokładnie kontrolowany i strzeżony. Wokół nowego obozu krążyły bez przerwy patrole SS. Nagle na terenie obozu pojawili się żołnierze Wehrmachtu z czerwonymi wypustkami. Cała wieś została ogrodzona potężnymi zasiekami z drutu. Wstęp na teren zagroźony, groził karą śmierci, a dotyczyło to nawet SS, co świadczyłoby, że obóz znalazł się pod wyłączną ochroną specjalnych oddziałów Wehrmachtu.

Któregoś dnia więźniów pospiesznie zagnano do robót przy budowie drogi betonowej oraz do obsługi dziesiątków betoniarów. Jednocześnie inna grupa więźniów została skierowana do niezwyklej roboty. W miejscu wypalanej wsi, polecono stawiać im chaty, stodoły, stajnie i szopy z gotowych elementów wykonanych z dykty, które przywieziono samochodami. Jak w „fabryce snów” wznoszono dekoracje sztucznej wsi żywcem przeniesionej z Disneylandu. Nie była jednak to wieś z bałki, a z okrutnej rzeczywistości. Niemcy polecieli przed chałupami postawić płoty, na których zawieszono gliniane garunki; tu i ówdzie przed chałupami suszyła się bielizna, a w oknach można było dostrzec wietrzącą się pościel. W ogródkach kwitły sztuczne kwiaty, gdzieś tam na ławach wypoczywał manekin dziadka, lub starszuszki, a przed domami wylegiwa-

ły się gipsowe psy. Niesamowity nastrój tej wsi wyczuły nawet ptaki, które wyniosły się w inne okolice.

Ta maskarada oraz budowa licznych żelbetonowych bunkrów, były sygnałem, że w obozie Blizna — Pustków coś się będzie dziać. Pod koniec listopada 1943 roku, najpierw w pobliskich okolicach zaczęły spadać pierwsze latające pociski, których wybuchy doprowadzały ludzi do bólów głowy i krwotoków, a zwierzęta do panicznego strachu. Znajdowano też nieduże błyszczące śrubki długości 2 cm, które w rękach odpalały, powodując ciężkie okaleczenia. Nie ulegało już wątpliwości, że Niemcy ukryli tu nową bazę dla prób z tajną bronią. Rzeczywiście przeniesli tu z wyspy Uznam ośrodek doświadczalny i poligon rakiet V-2 po zbombardowaniu go tam przez bombowce RAF-u.

ESESMAN PASJONAT... SPADE MI JAK Z NIEBA

— Mój brat, Henryk, leśniczy w Niwiskach i przedstawiciel wywiadu AK — nawiązuje do wspomnień J. Augustynowicz — współpracował z miejscowymi członkami BCH, którzy zatrudnieni byli w lesie. Byli to Piotr Kruk, Michał Kasza oraz Józef Świder, którzy na zlecenie zastępcy komendanta kolbuszowskiego obwodu BCH Stanisława Kosiorowskiego („Zarzycki”) mieli dostarczać i przekazywać informacje o rozstawieniu obiektów na terenie wsi Blizna, oraz wszystkie pozyskane części po latających pociskach, które eksplodowały. Moim zadaniem było m. in. dostarczanie ich do Kolbuszowej, do komendanta obwodu AK („Boryny”).

Jak wspominałem, posiadałem przepustkę do Niwisk, na podstawie której raz w tygodniu, mogłem przyjeżdżać do brata. Trasę tę pokonywałem rowerem, ale jakikol-

tym czasie i otrzymywałem go nie które gospodarstwa specjalistyczne — Pan jest Niemcem i powinien pan wiedzieć, jakie są zarządzenia — udaje wariata.

— Ja, ja, Ordnung muss sein — zgodził się, ale dorzucił tonem uśpiadliwym:

— Potrzeba mi tylko parę kilogramów od czasu do czasu.

Korzystając z takiej okazji, próbowałem upiec swoją pieczę.

— A co będzie, jak zatrzyma mnie Bredov czy inny policjant i po zrewidowaniu znajdzie nawet?

— Esesman zgodził się ubezpieczyć mnie w pewnej odległości na szosie aż do Nowej Wsi i podjął natychmiast interwencję w razie niebezpieczeństwa tak w czasie wyjazdu, jak i przyjazdu do Niwisk. Oczywiście, teraz mogłem działać o wiele operatywniej.

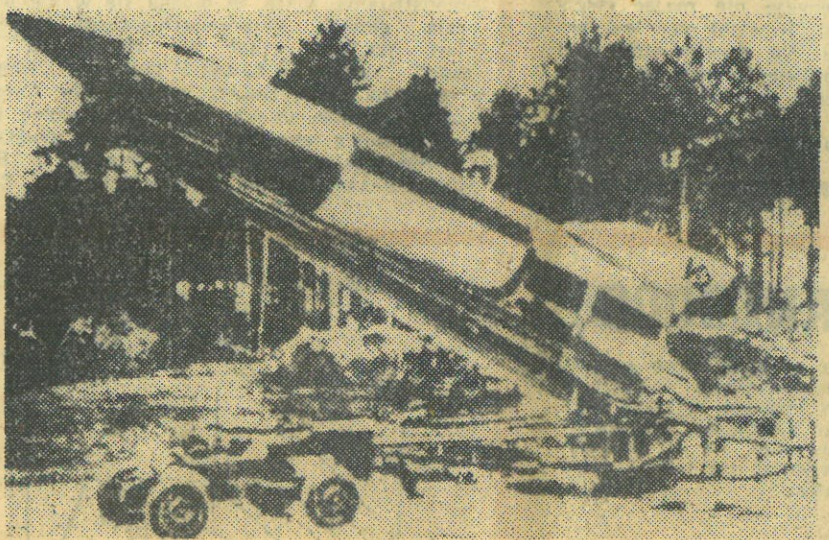
Brat mój informację oraz części pocisków dostarczał też innym kurierem, m. in. księdzu Janowi Kurkowi, który był kapłanem organizacji, a posiadał zezwolenie Niemców na odprowadzanie nabożeństw w nie obsługiwanej kościele w Niwiskach.

Kończąc swoje wspomnienia — J. Augustynowicz mówi:

— Wielu spraw, nawet z ostatnich lat już nie pamiętam. Ale tamte sytuacje z koszmarnych czasów okupacji, są do dziś żywe. Może jest to jakiś uraz oraz psychoza. Trudno zapomnieć te lęki i obawy, od których człowiek z wyobraźnią nigdy nie jest wolny, choć nie zawsze muszą one niszczyć odwagę...

„PRZEŻYJMY TO JESZCZE RAZ”

J. Augustynowicz pracuje na pół etatu w miejscowym Muzeum Kultury Ludowej. Dla relaksu, w chwilach wolnych, utrzuca na płótnie pejzaże okolic i zabytki budownictwa ludowego. Jego dojrzałe prace malarskie, olejne i akwarelki można także obejrzeć w muzeum.



Pocisk V-2 na wyrzutni we wsi Blizna.

Fotokopia: W. KIRSZNER

wiek wypadł od strony kierunku lasu, groził śmiercią. Był to teren ściśle kontrolowany i w każdej chwili mogłem wpaść w ręce policjantów lub esesmanów, a znalezienie u mnie nawet najdrobniejszej części z rozrzuconego latającego pocisku, było równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Szczególnie niebezpieczny był policjant, niejaki Bredov, zwany przez miejscowych robotników „Organistą”. „Kołodował” bowiem na szosie, polując na kobiety i mężczyzn przewożących żywność. Kiedy łup był skromny, swoją wściekłość wyładowywał biciem ofiar.

Mniejsze części pocisków przewoziłem na dnie bańki z mlekiem lub w serze; inne kryłem w koszyku pod jarami. Nie było to zbyt bezpieczne, a broni nie wolno było zabierać. Miałem natomiast zawsze przy sobie granat. Czasem trzeba było wyjechać do Niwisk w godzinach pracy. Musiałem więc uzyskać zwolnienie lekarskie. Dr J. Własnowolski dobrze orientował się w celach moich wypadów do Niwisk i kiedyś powiedział:

— Nikt nie zna granic swojej wytrzymałości, dopóki nie dostanie się w łapy gestapo. Na pożegnanie wcisnął mi w rękę ampułkę z cyjankiem i mruknął:

— Nie zabieraj ze sobą granatu...

Nie wiem skąd esesman Heis dowiedział się, że pracuję w Gminnej Spółdzielni. Być może pytał o to mojego brata, u którego częstych moich wizyt nie udało się ukryć.

Ten esesman spał mi jak z nieba. Już nie „konika”, ale dosłownie miał bzika na punkcie ogrodnicztwa. Cieszył się i szczylił jak dziecko każda wyhodowana przez siebie nowalijką. Któregoś dnia, kiedy byłem u brata, przyjechał Heis i mówi:

— Może pan będzie mógł mi się wystarać o saletrę wapniową!

Był to nawet trudno dostępny w

zrobiony, aby powrócić do roli „przemytlnika” i trasę, którą pokonywał raz w tygodniu, przejechał z nami autem, z łałem odmawia.

Serdecznie dziękuję, ale sfatygowane przeżyciami konspiracyjnymi serce, które wspomagał dziś rozrzuconym, nie pozwala mi przeżyć tego jeszcze raz!

Brat J. Augustynowicz, Michał został aresztowany wraz z rodziną i znalazł się w obozie Ravensbrück. Dziś już nie żyje. Wielu czynnych świadków tych wydarzeń, zginęło z rąk gestapo. Inni zmarli śmiercią naturalną. Czas okazał się łaskawym dla świadków zawsze martwych, ale nie niemych. Jeszcze dziś, na terenie chłopskiej zagrody możemy spotkać płytę, z wyrzutni gdzie startowały V-2, fragmenty torów po bocznic kolejowej, potężne ściany żelbetonowych bunkrów rozrzuconych po polach, a nawet rozbrojone pociski baterii przeciwlotniczych. Jeszcze parę lat temu w pobliskich lasach, można było się natknąć na potężne leje po wybuchach „latającej śmierci”.

Dopiero książka „Akcja V-1, V-2” Michała Wojewódzkiego oraz serial telewizyjny J. Janickiego wg tej książki, utrwały w pamięci dla potomnych i przypomniały szerszemu rzeszom widzów o tym wielkim wyczynie polskiego ruchu oporu ostatniej wojny: rozpracowanie niemieckich doświadczalni z tajemnicą „Vergeltungswaffe” (bronią odwetu), uwięzione przesłaniem do Londynu na pokładzie angielskiej „Dakoty” rakiety V-2 wraz z ekspertami technicznymi paliwa i wyposażenia rakietowego.

W tym wyczynie mieli również swój udział mieszkańcy Kolbuszowej i ówczesnego powiatu — uczestnicy ruchu oporu, którzy z narażeniem życia wydzielali strzępek po strzępek największą tajemnicę hitlerowskich Niemiec i zniszczyli największą ich nadzieję...

Klimontów należy niewątpliwie do tych miejscowości, w których ja. Nic zatem dziwnego, że DANUTY CIEPLINSKIEJ nie problemów. Tym bardziej że profesorka miejscowego kształcącego, no i posłanką. Ma za sobą 25 lat pracy pełniącej przecież w różnorodnych funkcjach. Jednak, że w jej z sobą szczególny zapisał się lat sześć do lata będą głównym rozmowy.

— Sądzę, że warto przy 1980 roku. Wtedy bowiem z czego Pani nie oczekiwała.

— Tak, to prawda. Kandydowała, lecz nie wierzyłam, że. Kiedy ogłoszono wyniki byłam skoczona i chyba oszaloniona.

— A jak zareagowała rodzina?

— Cóż, mój synowie bardzo jąby też.

— Jakby?

— To znaczy też się cieszyłam, że zdawał sobie sprawę, co nieco hamowało radość. Trze się nie omylić. Spadło nanię więzów domowych. Bywały też w domu byłam gościem.

— Zanim jednak dowiem się, licznym poselskich obowiązków, pytać jakie wydarzenia z pierwszostwa zapadły szczególnie.

— Na pewno ślubowanie. Byłam wzruszona. Mocno przebieg i niezwykle burzliwe, które odbyło się na początku.

— Zatem start nie był dla

— I nie mogło być inaczej. Wpadłam w wir spraw, niezwykłych, dużego doświadczenia, go doświadczenia, bardzo brak prawie wszystko było dla mnie. Wiele uczyłam, gdyż spełniać swe obowiązki. Nie one pogodzić. Matka, żona, sioła niejednokrotnie ustąpić, czuwałam to ja, tak też odbiła szkoła.

— Istotnie. Sejm VIII kadencji chwalił się wyjątkową aktywnością, choćby podjęte przez

— Tak. Lecz przed rozpoczęciem nie przewidział, że będę absorbująca. Tempo pracy nie tylko mnie, ale również nie większym stałem.

— Proszę więc powiedzieć, Pani poza domem?

— Raz lub dwa razy w miesiącu posiedzenia Sejmu i posiedzenia w miesiącu mam dyżur w W. Społeczności w Tarnobrzegu, tegoż zespołu, mam też obowiązki w sejmie WRN i GRN oraz

dokładnie zaprogramowany, ma w nim miejsca na tzw. 2.

— Zastanawiam się wobec tego, w stanie pogodzenia działalności z pracą zawodową.

— Moim zdaniem, permansyjny prawie wyklucza możliwość wywiązywania się z obowiązków. Niektórzy jednak, chociaż łączenie funkcji jest nie do daję cenny w pracy posła, dziennym życiem społeczeństwa.

— Właśnie, a jaki ten koszt?

— Uważam, że normalny. Każdy kto chce do posła do uczynić, a również każdy z po chce, może poznać opinie swe.

— Coś musiało być nie w obecnej chwili, o tym, by więzów rozliczania się posłów przed wyborcami, a forma szersza sposób docierania z nim powinna być ustalona w przyszłości.

— Dlatego też powiedziałam, słów, jeżeli tylko chce, moich swoich wyborców. Owszem, że opinie poznawało się nawet zabiegów. Na przykład w pozycji się legitymację poselską, spotkać nawet i z inwektywami, nigdy się to nie przydało moich koleżanek ma za sobą czenia.

— Nie wiem, być może dzieło wizyjnym, utrwalilo się przez Sejm polega głównie na głowie.

— Rozumiem. Chodzi o p